

mam tylko domek piętrowy ze sporym ogrodem, w którym hoduję warzywa...

— To mi pan już pisał.

— Tak... pisałem, bo chcę, żeby pani wiedziała, że żona moja opływać w dobrobycie nie będzie... Dzieci mam troje... Pracy dużo... Niech mi pani powie szczerze, czego by pani żądała w małżeństwie?

— Spokoju... domu rodzinnego... i obowiązków.

— Nic więcej?

— Nic.

— To nie wiele.

— Czyż mogę być wymagającą?

— Jest pani kobietą wykształconą... posiada pani zawód... pracuje pani samodzielnie...

— Nie wystarczy mi to. Chciałabym mieć bezpośredni cel życia i... nie być samotną...

Kornelia dziwiła się sama sobie, że najskrytsze pragnienia swoje wypowiada tak śmiało i otwarcie temu obcemu zupełnie mężczyźnie.

W sposobie zachowania się Rogoziewicza było jednak coś, co ją ośmielało i pociągało.

Sytuacja sama przez się kłopotliwa, traciła swój niemiły posmak. Rozmowa nabierała charakteru szczerzej, poufnej, przyjaznej pogawędki.

— Pierwszy raz ktoś interesuje się mną, dopytuje o moje myśli i uczucia — pomyślała Kornelia. Zaczynało jej być jakoś dobrze i zaciśnie.

— Czy pani ma rodzinę?

— Owszem, mam rodziców, siostry, brata, ale daleko, na Litwie... Oddawna nie jestem już u nich... Oderwałam się sercem od nich i oni odemnie...

— I szuka pani nowej rodziny?

— Tak...

— Pokażę coś pani... Proszę, niech pani spojrzy... Oto fotografia mojej trójki...

Wyjął z portfela fotografię gabinetowego formatu i podał ją Kornelii.

Wpatrzyła się uważnie i przez długą, długą chwilę nie mogła oderwać wzroku.

Jakiś czar wionął ku niej od tej grupy trojga prześlicznych dzieci.

Dziewczynka z rozpuszczonymi na ramiona włosami, z wielkimi, ciemnymi oczyma w dziwnie poważnej twarzyczce małej kobietki, ogarniała rączkami dwoje młodszych, uroczych, roześmianych dzieciaków, przypominających trochę aniołki Murilla, a trochę figlarne buzie dziecięce Greuze'a.

Ciepłym, macierzyńskim uczuciem zatrzepotało się biedne, gorczą istnienia zatrute serce w piersi samotnej, brzydkiej dziewczyny.

— Cudne dzieciaki! — wyrzekła wreszcie, odając fotografię powoli, jakby z żalem.

Aż zawstydzila się, że głos jej brzmi tak jakoś rzewnie, a oczy mgłą wilgotną zachodzą.

Uczucie głębokiej, szczerzej radości i dumy ojcowskiej rozjaśniło bladą twarz mężczyzny.

— Ładne, prawda?... Miłe, dobre i roztropne!... Chyba nie przesadzę, jeżeli powiem, że niepodobna ich nie lubić!... Chociaż mają swoje wady. O, mają!... Czasem trudno z nimi dojść do ładu!...

— Prawdziwe, żywe dziecko nie może być takie, jak niedoścignione wzory w powiastkach dla „grzecznych“ dzieci — zauważyła Kornelia.

— Oczywiście!... Jak pani to rozumie!... Biedne moje maleństwo... one tak bardzo potrzebują serdecznej, a rozumnej opieki kobiecie... Ja, choćbym chciał, nie potrafię... Bywam często zdenerwowany, rozstrojony, a tutaj potrzeba dużo spokoju i dużo, bardzo dużo cierpliwości!...

— W jakim wieku są dzieci?

— Stefka, najstarsza, skończyła dziewięć lat. Ona mnie niepokoi trochę. Jest stanowczo za poważna i jakoś jakby zanadto dojrzała umysłowo na swój wiek... A przytem skryta i uparta... Czasem zdaje mi się, że to dziecko wie już i rozumie daleko więcej, niż jej dziewięcioletni mózg przetrwać może...

— W każdym razie to dowód, że dziecko jest inteligentne i umie myśleć.

— O tak! Stefka jest bardzo inteligentna i zdolna. Uczy się doskonale... Tylko boję się, żeby się ta inteligencja nie wypaczyła...

— A młodszy?

— Władek ma sześć lat, a Zosia, cztery... To znowu skończone urwisy... Trzeba ich na każdym kroku pilnować, aby nie spsobili czegoś albo nosów sobie nie porozbijali...

Rozmowa o dzieciach nabierała coraz więcej charakteru poufalej pogawędki.

Witowtówna z żywym zainteresowaniem wypytywała o przyzwyczajenia, upodobania, zdolności dzieci. Kiedy niekiedy wtrącała swoje uwagi, które jej towarzyszyły najczęściej z uznaniem aprobował.

— Tak! Słusznie... Pani ma wrodzoną intuicję pedagogiczną.

Witowtówna uśmiechnęła się.

— A może to tylko instynkt macierzyński, właściwy każdej kobiecie.

Wstrząsnął głową przecząco.

— Nie! To nieprawda, że wszystkie kobiety mają wrodzone uczucia macierzyńskie... Jest wiele takich, które matkami być nie umieją, choć mają dzieci... Nie jeden taki przykład miałem przed oczyma i nieraz bardzo blisko.

Sposepniał. Sciągnął brwi, czoło sfaldowało mu się w szeregi drobnych zmarszczek, przez co wydawał się daleko starszym, niż był wistocie.

Po chwili spojrzął na Kornelię i zapytał nagle, jakby to był dalszy ciąg jego myśli:

— Więc pani podobają się moje dzieciaki?

— Bardzo!

— I zgodziłaby się pani zostać ich matką, opiekunką, wychowawczynią?

— Tak — odpowiedziała szczerze i zdziwiła się sama sobie, że to się tak jakoś rzekło prosto, jasno bez rumieńca na twarzy i bez zawstyżenia.

— Pomimo wszystkich kłopotów, trudności, trosk?

— Właśnie dla nich!

— A zatem...

Kornelia spokojnie, ufnie złożyła swoją rękę w wyciągniętą ku niej dłoń mężczyzny.

Tego samego jeszcze wieczoru spaliła Witowtówna wszystkie drobne, mało znaczące pamiątki od Ludwika Rażyckiego. Płomień pochłonił kilka krótkich, błahych w treści bilecików, zeszczy bukietów fijołków, ofiarowany kiedyś Kornelii w przystępie dobrego humoru i jakieś rysunki.

Pozostawiła sobie tylko fotografię Ludwika, którą swego czasu zabrała potajemnie z albumu pani Rażyckiej. W pierwszej chwili chciała i tę fotografię rzucić w ogień, ale zabrakło jej siły...

Spalić jego podobiznę... nie... nigdy!... Niechaj chociaż to jedno zostanie!

Gorące krople łez padały z brzydkich, wypukłych, rybich oczu dziewczyny na fotografię i plamiły chłodny, gładki, lśniący papier.

— Zegnaj Ludwiku, żegnaj na zawsze! Żegnaj, jedyny mój śnie o miłości!...

ROZDZIAŁ XVI.

U wejścia do „restauracji“ i „wyszynku piwa i rurnych wudek“ Hermana Grinszpana, wisiał zachęcający szyld: „Tu się je i pije, jótro za darmo dzisiaj za pieniądze“, „Fhut pszez się!“.

Tylko oczywiście tego „jótro“ nie mógł się nikt doczekać, a „dzisiaj“ napełniało obficie grosza do kieszeni właścicielowi, który nie zadowalał się podawaniem potraw i „szynkowaniem“, ale prowadził także sklep „mieszanych towarów“ i pośredniczył w interesach najrozmaitszego rodzaju.

Niedomagał wojny nie znać było po nim. Frze ciwnie, okrągła, uśmiechnięta twarz jego wypełniała się coraz więcej i uśmiechała się coraz rozkoszniej. Ludzie opowiadali sobie, że Grinszpan podczas wojny na spekulacjach żywnościowych i innych zrobił krociowy majątek, że dla córki swojej, Rózi, kazał swatowi szukać „doktora“, a sam w oczekiwaniu tego świetnego zięcia zaczyna tak skracać swój chałat, iż ten tradycyjny strój przypomina już raczej surdut.

Grinszpan nigdy o tej swojej pomyślności nie mówił, natomiast narzekał często na „ciężkie“ czasy i wzdychał, wspominając kary pieniężne, które nieraz płacić musiał za przekraczanie przepisów o podawaniu alkoholu.

— Oni się na mnie uwzięli. Jak tylko jaki chłop pijany awanturę robi, to zaraz jest doniesienie, że on się upił u Grinszpana! Zeby moje wrogi takie zdrowe byli, jak to jest prawda!

— No, jak są świadkowie — wtrącał ktoś uwagę.

— Co, świadki?! Co to znaczy świadki? Żebym ja tyle tysięcy miał, ileby ja mógł mieć świadki!

— Et, nie zwracaj pan głowy, panie Grinszpan! Albo to pan nie dasz wódki, ile kto zechce?

— To jest zapłata za moje dobre, miękkie serce! Jak mnie kto prosi, że jego żołądek boli, że on chory, to ja jemu chcę grzeczność robić i muszę za to płacić! Co mnie to kosztuje! Co mnie to kosztuje!

— Już tam pan sobie to odbijesz... Jeszcze trochę wody do wódki, kieliszek będzie kosztował koronę i koniec!...

Na to Herman Grinszpan nie odpowiadał już nic, tylko ciężko wzdychał, jakby ubolewając nad ludzką niewdzięcznością i niesprawiedliwością.

I dzisiaj rojno było i gwarno w wielkiej, zadmionej, dusznej izbie szynkownianej z brudną, zapłutą podłogą i długim szeregiem ław i stołów. W dniu tym zszedł się jarmark z terminem pobie-

rania zasiłków przez wieśniaczkę z gmin okolicznych, to też niejedna korona zarobku jarmarcznego lub zasiłku tonęła w czeluściach kasy Grinszpancej.

Dwie dziewczyny z pretensjonalnymi grzywkami, a w brudnych fartuchach, podawały potrawy i napoje. Powietrze przesycone było oparami gorącego mięsa, wyziewami alkoholu, niemiłą wonią śledzi i zepsutego sera, i zaduchem potu ludzkiego.

Gospodarz sam stał za bufetem — krajał, nalewał, doglądał, odbierał pieniądze, a czasem udzielał energicznych admonicji usługującym dziewczętom. Chwilami marszczył brwi. Nie był dzisiaj zadowolony z targu. Gości wprowadzić było dosyć, ale znać było, że się liczą z groszem. Jaki taki poprzestawał na czystej szklance herbaty i zagryzał własnym, z domu przyniesionym chlebem.

— Kto ma pić? Kto ma fundować? — myślał Grinszpan. — Czy te stare chłopcy, czy te baby, co każda halerza w garści dusi, jakby to był milion... Parobków niema, młodych gospodarzy niema. Czasy nie są złe, one są nawet całkiem dobre, ale kto ma pić?

Przy jednym tylko stole raczono się obficie; siedział tam młody ułan „urlopnik“, a z nim dwie starsze kobiety i młoda, płowowłosa dziewczyna. Kobiety sadziły się widocznie jedna przed drugą, aby jak najhojniejszym poczęstunkiem dogodzić żołnierzowi.

— Panienko, proszę cztery piwa!

— Panienko, herbaty z rumem! Ino, niech rum będzie jak należy! Niech kosztuje, co chce, byle był „fajny“!

— Proszę gulas!

— Pij, Franuś!

— Jedz, Franuś!

Ułan nie dał się prosić. Jadł, aż mu się uszy trzęsły i pił ze smakiem, powtarzając co chwila:

— W wasze ręce, mamusiu! Do was „krzesna“ matko! Na zdrowie, Margoś!

— A na długo to na urlop? — rzucił ktoś pytanie od drugiego stołu.

— Na osiem dni.

— O, to zleci, jakby z bicza trząś!

— I pójdzie znowu, pójdzie odemnie na ten plac boju... na te „kanony“ straszne. O, mój Boże, mój Boże! — zaczęła lamentować matka.

— Nie płaczcież, mamusiu, nie płaczcież! — Bo to płakać, kiedy nie pomoże!

Dziewczyna z jasnymi włosami, westchnęła głośno, a podпиты już trochę ułan zaśpiewał:

Oj, zapłaczesz, dziewczyno!

Oj, zapłaczesz!

Oj, jak mnie na koniku

Oj, zobaczysz!...

— Pisałam i ja prośbę po mojego chłopca na urlop — opowiadała jakaś inna kobieta — żeby to mu choć kilka dni dali... Tak mi się cnie za nim, co retyl!...

— Zeby to ich na dobre popuszczali!...

— Ale na dobre tam!... Puszczą! A jakże!...

— Wszyćko ma swój koniec!...

— Ino gdzie ten koniec, gdzie, kie go nie widno?!

— Czekaj tatka latka, aż kobyłkę wilcy zjedzą!...

— Kumoska! Kumoska! — rozległ się nagle szept — Popatrzcie ino... Sojkowa Franka z pisarzem ze Skowronkowic!...

— Jaka ci to galancie odziana!...

— Jak sama pani japtekarzowol!...

— W kapelusie!...

— W plusiowym zakiecie!...

— Spodnica na pańską modę!...

— Jak jej to nie wstyd, mościwyl!... Skąd ona na to bierel!...

— A żydy dają!... Siedzi una i u Wajkrata i u tego tu Grinszpana w kieszeni dobrze!...

— Pójdzie ojcowizna na marnel!...

— A pójdzie! Mało to i kawaliry od niej wypiją i napożyczą?!...

— Choćby i ten pisarz ze Skowronkowic!...

— A ona głupia myśli, że on na jej urodę łasy, że się żenił będzie!...

— Ale żenił się będzie! Niech ino tego ostatniego centa od niej wycygani, to jej ta później pokaze ka raki zimują!...

Wszystkie te uwagi podawano sobie jednakowoż z ust do ust bardzo cicho i bardzo dyskretnie ze względu na osobę pisarza, tytułującego się „panem sekretarzem“.

Bądź co bądź była to osoba „urzędowa“ i zadziarać z nią było niebezpiecznie.

Taki pisarz, jeżeliby zechciał, mógłby niejednemu porządnie dokuczyć, więc poco z nim zaczynać.

(Ciąg dalszy nastąpi)